

KATARZYNA RYRYCH
CHULIGANIA



KATARZYNA RYRYCH
CHULIGANIA

Katarzyna Ryrych
Chuligania

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka: Ilona Gostyńska-Rymkiewicz
Redakcja: Agnieszka Hałubiec
Skład i korekta: Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I, Łódź 2021
ISBN 978-83-7672-983-1

Wydawnictwo Literatura



91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



Do Ani z Zielonego Wzgórza to naprawdę mi daleko. Owszem, jestem ruda. I jestem sierotą. Ale to wszystko.

Nie pragnę spotkania z pokrewną duszą ani pokoiku na poddaszu, nie znoszę bufiastych rękawów. To dopiero byłby obciach.

Wyśmialiby mnie wszyscy w Domu. Wystarczy, że dziwią się, dlaczego nie marzę o tym własnym.

Miałam już dom. Lubisia, moja wychowawczyni, próbuje mnie przekonać, że ten kolejny może być równie dobry. Że jest cała masa ludzi, którzy tylko czekają, żeby mnie do siebie zabrać. Tylko jakoś dziwnie szybko rezygnują, kiedy okazuje się, że ja tylko tak ładnie wyglądam, a w środku... Nie jestem ani miła, ani wesoła. Ani rozmowna. Za to przyciągam kłopoty jak magnes.

Choćby trzy lata temu, kiedy było zaćmienie księżyca i razem z chłopcami wyszliśmy z Domu przez kotłownię i wdraliśmy się na maszt za ogrodzeniem. Nic nie było widać, bo były chmury, ale i tak było fajnie.

Usiedliśmy tuż pod anteną satelitarną zamontowaną na samym szczycie i patrzyliśmy w dół, na ulicę.

Serio, nie miałam pojęcia, że w naszym mieście są szczury, i to na dodatek takie wielkie. Biegały po chodniku i wspinały się na kosze na śmieci.

Nikt by się o tym nie dowiedział, gdyby nie Misiak (to znaczy Michał), który wypaplał wszystko w swojej grupie.

I wyszło na to, że pomysł był mój. No i Robaka. Bo jeśli się coś działo, to nasza dwójka zawsze była umoczona. Po uszy.

A ja tylko powiedziałam, że zaćmienie jest dobrze widoczne z jakiegoś wysoko położonego miejsca. A Robak dodał, że nawet zna takie miejsce.

Lubisia mało nie dostała ataku serca. I naprawdę, nie miało znaczenia, że byłam najmłodsza w grupie ryzykantów.

Oczywiście ten incydent (Lubisia zawsze używała mądrych słów) został wpisany na długą listę moich wykroczeń.

– Jak tak dalej pójdzie, to nigdy nie znajdziemy ci żadnej rodziny – pokręciła głową.

Pomyślałam sobie, że rodzina już była. Najlepsza na świecie. No i że nie jestem taką absolutną sierotą, bo jeszcze jest dziadek, który zawsze był twardzielem i pewnie dlatego przeżył wypadek.

To było tak: pojechaliśmy na wakacje do naszego domku nad jeziorem i wszystko było jak w bajce, dopóki nie zaczął mnie boleć brzuch. Okropnie. Kłuło mnie z prawej strony tak bardzo, że nie mogłam zgiąć nogi.

I na dodatek pod moją skórą powstało zgrubienie wielkości... no, nie pamiętam czego, ale naprawdę spore.

Zanim dojechaliśmy do szpitala, zapaskudziłam całe siedzenie, bo było mi niedobrze. Prosto z samochodu trafiłam na salę operacyjną.

Miałam szczęście, że mój wyrostek nie pękł, bo pewnie już by mnie nie odratowali.

Moja rodzina miała mniej szczęścia.

Postanowili wracać do domu trasą widokową (nie było sensu, żeby tkwili w szpitalu) i wjechali w drzewo, bo przed maskę wybiegł im... łoś. Tata hamował, a przynajmniej tak to wyglądało, ale... cało wyszedł z tego tylko łoś. I – częściowo – dziadek.

Było w tym trochę mojej winy, bo to ja nalegałam, żeby wrócili do domu.

Kiedy mnie wybudzono, czułam się naprawdę w porządku, no, może trochę było mi niedobrze, ale doktor stwierdził, że po narkozie to normalne.

Moi rodzice posiedzieli przy mnie i, jako że chciało mi się spać, zapytałam, czy nie mogliby tak po prostu pojechać sobie i wrócić następnego dnia. I w ten sposób posłałam ich na spotkanie z łośmiem.

Kiedy powiedziano mi o wypadku, zaczęłam zastanawiać się, dlaczego łoś znalazł się w tamtym miejscu o tej, a nie innej godzinie. Może był ktoś, kto go wysłał? Jeśli tak, to kto?

Bo chyba nic nie dzieje się bez przyczyny?

Na początku trudno było mi to zrozumieć – jak to, widzimy się wieczorem i wszystko jest dobrze, a drugiego dnia – już się nigdy nie zobaczymy?

Po prostu nigdy.

„Nigdy” to takie słowo, które ma początek, zaczyna się... i się nigdy nie kończy.

Leżałam na szpitalnym łóżku, zmieniano mi opatrunki i starałam się nie patrzeć, jak do innych dzieciaków ciągle ktoś przychodzi.

Którego dnia, kiedy mierzono nam temperaturę, usłyszałam, jak jedna z pielęgniarek zastanawia się, czy nie przenieść mnie do izolatki. Druga odparła, że tam będę już zupełnie sama.

Więc gapiłam się na tych rodziców i te dzieci i nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak teraz będzie wyglądało moje życie.

Podobno dziadek przeżył kolizję z drzewem, ale leżał w szpitalu w bardzo ciężkim stanie i nikt nie potrafił – albo nie chciał – mi powiedzieć, co będzie dalej.

Płynął czas, a ja... Czekałam na cud. Próbowałam sobie wyobrazić, że to wszystko jest snem, z którego zaraz się obudzę.

Rozmawiali ze mną różni ludzie. Wszyscy starali się być bardzo mili, nawet za bardzo. To bolało.

Dzisiaj wiem, że chcieli dobrze. Myśleli, że jeśli pogłaszczą mnie po głowie i przytulą, to poczuje się lepiej. Może inni tak mają, ale u mnie to nie działało. I nie działa. Bo zaraz zaczynało mi się przypominać, jak mama wiązała moje włosy w kucyk albo smarowała mi nos kremem, żeby nie opalił się na czerwono.

I że już nikt inny nie zrobi tego w taki sposób.

Dlatego odsuwałam się, najpierw nieznacznie, a potem coraz bardziej ostentacyjnie, a kiedy ktoś mimo to wyciągał rękę, zaczynałam wrzeszczeć.

Nic tak nie działa na dorosłych, jak wrzask dziecka. Zaczynają się wtedy bać, że zrobili coś złego.

No bo w sumie zrobili. Ostrzegałam, nie?

A już nazywanie kogoś biedactwem... nie można gorzej.

Pod tym względem chłopcy mają lepiej. Z nimi nikt sobie tak nie poczyna. Wolałabym usłyszeć to, co oni. Że dam radę. Że nie ma rzeczy niemożliwych. Że jestem twarda. A nie – „biedactwo”.

I ci wszyscy, którzy byli zainteresowani tym, żeby dać mi dom, po prostu zaczynali źle. Jakby nie rozumieli, że dzieciakowi, który właśnie stracił rodziców, nie wolno mówić: „Będę twoją nową mamusią”.

A potem się dziwili, że tak ładnie i miło wyglądam... ale tylko wyglądam.

Wtedy Lubisia wpadła na pomysł, żebym miała weekendowych rodziców. To znaczy takich, którzy zabiorą mnie na rodzinny spacer albo do kina, albo na wycieczkę.

To też nie był najlepszy pomysł. Bo nikt mnie nie pytał, co chciałabym robić. Po prostu realizowali własne plany, a ja miałam być zadowolona. I nikogo nie interesowało, co myślę i co czuję.

Choćby takie Misiaczki. Tak nazwałam ich natychmiast, gdy się pojawili. Ona i on, w identycznych koszulkach, czapeczkach i sportowych butach. I ten genialny pomysł na wycieczkę... do zoo. Bo dziecko nie marzy o niczym innym. No, mógł jeszcze być park wodny albo park linowy.

Wygrało zoo, pewnie dlatego, że było najbliżej.

Nie musicie się specjalnie zastanawiać, żeby zgadnąć, jakiego zwierzątko zobaczyłam na samym początku.

Łosia. Takiego samego, jaki wyskoczył rodzicom na drogę. Albo prawie takiego samego.

Misiaczki zachwycały się, jaki jest piękny, a ja miałam w uszach brzęk szkła, krzyk mamy, zupełnie jakby ktoś wyświetlił mi film. Ten łoś był chyba młody i głupi, bo podszedł do ogrodzenia i wysunął w moją stronę pysk. Pewnie dzieciaki dawały mu jakieś smakołyki, ale ode mnie oberwał pięścią.

Dzisiaj głupio mi z tego powodu, bo ani on, ani tamten od wypadku nie byli niczemu winni, ale wtedy coś we mnie pękło.

Pewnie go to nawet nie zabolalo, po prostu przestraszył się i uciekł. Misiaczki spojrzaly na mnie ze zgrozą i wycieczka skończyła się, zanim się zaczęła.

Gdyby naprawdę interesowała ich moja osoba, nie pojechałoby tam ze mną. Wiedzieliby, że mogę tam zobaczyć łosia, który może mi się źle skojarzyć.

Ale możliwe, że... chciałam im to zwyczajnie zepsuć.

Nie pasowaliśmy do siebie. Wyszło na to, że jestem agresywna i nie lubię zwierząt.

To był naprawdę okropny stan. Rozpaczliwie tęskniłam do tego, co było wcześniej, ale kiedy do Domu przywieziono moje rzeczy, nawet nie chciałam ich dotknąć. Czułam się jak jaszczurka, którą ktoś na siłę próbuje wepchnąć w starą skórę. Więc leżały te moje bambetle spakowane w pudła, a ja zastanawiałam się, kto je tam włożył.

Wiedziałam, że kiedy otworzę któreś z nich, zamienię się w „biedactwo”. A ja chciałam być twarda.

Kiedy minęło trochę czasu, wyciągnęłam Lubisię na rozmowę.

Najpierw starała się wykręcać, jak to zazwyczaj robią dorośli – nieudolnie i głupio – aż miałam ochotę zacytować jej ulubione powiedzonko: „Lubi się zmyślać, tak?”

No i dlatego w domu nazywaliśmy ją Lubisią. A ona myślała, że to od tych ciasteczek w kształcie misiów!

Jak już wyczerpała wszystkie tłumaczenia, stanęłam pod drzwiami i powiedziałam, że nie wyjdę, zanim nie odpowie na

kilka moich pytań, i jak mnie spróbuje odsunąć od drzwi, to zacznę wrzeszczeć.

– No dobrze – ustąpiła.

Pytania były proste: co się stało z naszym mieszkaniem, gdzie jest i jak się czuje dziadek, i czy nie mogą zabrać gdzieś tych moich rzeczy, bo ja ich nie chcę. Oczywiście Lubisia mnie wykiwała, bo położyła na biurku album ze zdjęciami i w ten sposób uniknęła odpowiedzi na te naprawdę istotne pytania. I momentalnie przeszła do ofensywy.

– Naprawdę nie chcesz zatrzymać swoich zdjęć? Jeżeli za kilka lat...

– Nie możecie ich po prostu schować? Do jakiegoś sejfów? Albo szafy? I przetrzymać te kilka lat!? – wrzasnęłam.

Lubisia spojrziała na mnie wzrokiem „nie da się jej lubić, choćby człowiek się nie wiadomo jak starał” i zrozumiałam, dlaczego tak bardzo zależy jej na tym, żeby znaleźć mi rodzinę adopcyjną... przepraszam, zastępczą.

Byłam cierniem w oku Lubisi.

Tak bardzo się starała i nijak nie potrafiła mnie uszczęśliwić.

A to przecież byłoby takie proste. Przede wszystkim należałoby mi dać spokój. Nie łązić i nie pytać, jak się czuję. Jak może się czuć ktoś, kto w jednym dniu stracił wyrostek robaczkowy i rodziców?

Zabrać z mojego pokoju te wszystkie mysie-pysie, zwierzązki-pluszaczki, których wcale nie potrzebowałam.

Tak czy inaczej, Lubisia dokładała wszelkich starań, żeby zrobić ze mnie miłą, wrażliwą dziewczynkę. A tu – kłapa na całej linii.